№ 5. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 19 Stycznia (31 Stycznia) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Z TYGODNIA.

Jakkolwiek kłosy, na własnych zebrane zagonach, podwójną posiadają wartość, jednakże trudno się czasem oprzeć pokusie, która, ukazując nam szersze horyzonty, pozwala z plonu ich drobne choćby uszczknąć ziarnko.

Bo i jak tu zasklepić się w ciasnej skorupce naszych codziennych, powszednich zabiegów, gdy tam, hen za górami, ludzie nie żółwim krokiem, lecz orlim szybują lotem? Czy ów orzeł emancypacyi nie rozbije gdzie piersi o nieprzewidzianą przeszkodę, trudno dziś przewidzieć. W każdym razie, torując drogę swoim następcom, odrywa od spraw miejscowych kronikarza, a wyśmiawszy żółwią jego chyżość, rybi temperament i krótkowzroczność w notowaniu prac niewieścich, umieszcza śmiesznego tego pigmeja na swych skrzydłach, by z wyżyn ich mógł lepiej objąć okiem dalsze widnokręgi.

Rola biednego karzełka, na tak szyderczym tronie umieszczonego, wcale nie jest godną zazdrości. Zanim też spotka mię ona, wolę wpierw — przez dobroć serca—sam na obce zawędrować niwy. Tak, przez dobroć serca jedynie, bo gdybym tam nie widział rzeczy, która błękitne i czarne źrenice pań naszych błyskiem tryumfu rozjaśni, nawet szyderstwo z żółwiej skorupki nie skłoniłoby mię do opuszczenia rodzinnego zagona.

Ale oto kwestya równouprawnienia święci niezwykłe zwycięztwo. Sejm dolno-austryacki, uznając, iż kobiety często się dziś same utrzymują i same płacą podatki, a tem samem spełniają na równi z mężczyznami obowiązki obywatelskie, przyznał im prawo powszechnego głosowania, z zaznaczeniem, że i tak wpływ ich na wybory był zawsze bardzo znaczny. Wniosek, podniesiony przez Fussa, przeszedł większością głosów, Wiedenki zaś wystosowały do dzielnego swego obrońcy, adres dziękczynny.

Idźmy jednak dalej.

Ów wpływ niewieści na sprawy społeczne musi się silnie już zaznaczać, skoro nawet najbardziej konserwatywni Niemcy wzbogacili świeżo Hamburg gazetą codzienną, wydawaną wyłącznie dla kobiet. Trzecim wreszcie faktem, najbliżej nas obchodzącym, są podjęte ponownie starania o otworzenie napowrót wyższych kursów żeńskich w Petersburgu. Istniejący w gotówce kapitał zakładowy kursów tych, w sumie 152,000 rs., pomoże bardzo w urzeczywistnieniu projektu; szkoła zaś sama ułatwiłaby składanie egzaminów tym paniom naszem, które, skończywszy uniwersytet za granicą, w kraju jednak, bez potwierdzenia dyplomów, praktyką zajmować się nie mogą.

Za Austryą przecież, Niemcami i Rossyą, miała mi większe jeszcze dziwy ukazać Anglia. Tu, w mgłą pokrytej, ubogiej części Londynu, filantropia przywdziewa szaty dystynkcyi, zabawy i braterstwa, by nie dawaniem jałmużny, lecz obcowaniem z maluczkimi uszlachetniać i uspołeczniać ich poniekąd. Czytając w „Prawdzie" szczegółowy opis klubów, utrzymywanych tam przez inteligencyą i arystokracyą dla klas najbiedniejszych, przypomniałem sobie, że i u nas pokutuje w pewnem gronie filantropek myśl założenia resursy dla służących.

Śmieją się ludzie z tej utopii, a jednak kto wie, czy wpływ przez zabawę, dobrze zorganizowaną, nie okazałby się zbawienniejszym i skuteczniejszym od nauk, których nikt nie słucha. Gdyby pomysł ten był dawniej przyszedł naszem paniom wiejskim, nie mielibyśmy prawdopodobnie ani tak rozgałęzionej emigracyi brazylijskiej, ani kwestyi znachorów, lud ogłupiających, ani — o zgrozo! — pod koniec XIX wieku sprawy w Sądzie okręgowym o czary, za które krewniacy dopóty się pastwili nad włościanką Krzemińską, aż zbitej kijami na masę krwawą, szczękę dolną i ośm połamali żeber.

Ziarnko to więc, przyniesione z niwy londyńskiej, wartoby bliżej ocenić. Rzucone na naszę glebę, bujne by może wydało owoce. Sądzę też, iż prawdziwą położyłby zasługę ten, ktoby nas ze statutami i urządzeniami klubów, przeznaczonych dla ludu, szczegółowo zapoznał. Nie wszystko, rzecz prosta, dałoby się zastosować, sama wszakże myśl zabaw, połączonych z nauką i zbawiennem oddziaływaniem inteligencyi, mogłaby przy umiejętnem zużyciu zwrócić na lepsze tory filantropią naszę, często — bądźmy szczerzy — bezmyślną.

Czy chciałyby się jednak zniżyć do osobistego obcowania z najuboższymi „wielkie damy," tak surowo przez „Kuryer Codzienny" chłostane? Nie wiemy. Przypuszczamy wszakże, iż smagające je pióro, zbrojne w siłę męzką, zbyt znaczny wzięło rozbrat z delikatnością niewieścią, która ból cudzy jeżeli nie uwzględnić, to uszanować każe. Autorka zarzuca, iż połowa naszych pracownic, starszych

wiekiem, zamiast myśleć o podjętem zadaniu jedynie, rozgorycza się wspomnieniami tego co było, żyje echem świetniejszej, niezależnej przeszłości. Sądzę, iż wynik to bardzo naturalny u kobiet, stojących na przełomie epoki, u tych, które wykolejone przez finansowy upadek, z nędzy tylko rzuciły się do zarobkowania. Usposobienie takie, będące anomalią u młodych, fachowo uzdolnionych pracownic, nie zasługuje w matkach ich na ostry bicz sarkazmu i nagany, jakim wysmagane zostały.

Że chcą i pragną, by dzieci poszły wyżej, tego nikt za złe wziąć im nie może, bo dążenie takie uszlachetnia, lecz nie poniża nigdy natury ludzkiej. Ztąd też dziecko, które w połatanej sukience, przy turkocie maszyn i blasku małej kopcącej lampki uczy się zawzięcie, by nazajutrz w nędznej, wiatrem podszytej salopce biedz do szkoły, dziecko blade, źle z biedy odżywiane, a jednak z zapałem pochylone nad książką, było dotąd przedmiotem podziwu i sympatyi, nigdy szyderstw i sarkazmów. Czyżby emancypacya miała, biorąc naukę w monopol, przeznaczać ją dla uprzywilejowanych tylko? Jeżeli tak, ośmielamy się przypomnieć, iż rzadko nader z dzieci w puchach wychowanych wyrastają geniusze, lub choćby dzielni bojownicy idei. Ci, którzy sprawę jakąś jak bryłę świata naprzód posunąćby chcieli, wśród biedy wzrośli, w biedzie zazwyczaj hartu i woli szukali.

Uprzystępnienie też nauki, to zdobycz najwyższa XIX wieku, której nie zrzekamy się, choćby szanowna autorka... została nieraz jeszcze poszkodowaną i nosiła suknię źle skrajaną, przez magazynierkę... której córka, pomimo wytartych łokci, na wyższą pensyą chodzi.

Powróćmy zresztą do swoich rzeczywistych „wielkich dam." Dwie z nich rzuciły znów na szalę zacnych czynów niewieścich nietylko sztabkę szczerego złota, lecz rzecz stokroć cenniejszą, bo serca szlachetne, o ulżeniu niedoli, a więc o harmonii świata marzące. Hr. Urszula Golejewska zapisała wielkie swe dobra na szpital i stałą fundacyą dla chorych nieuleczalnych. Hr. Mierowa przeznaczyła dwa miliony guldenów na dom podrzutków we Lwowie. Wobec gorącej potrzeby podobnej instytucyi u nas nie wątpimy, iż zczasem która z filantropijnych magnatek i Warszawę podobną obdarzy fundacyą. Wszak drobne, wdowie grosze, wciąż są na cel ten zbierane.

A teraz, co na małej przestrzeni, jaka mi jeszcze zostaje, powiedzieć tutaj? Czy zanotować wielki konkurs dramatyczny, ogłoszony przez Wydział krajowy lwowski, czy wspomnieć z zapowiadanej wystawie nasion, lub odkrytym przez doktora Bujwida środku przeciw suchotom? Nie; wszystko to rzeczy z pism codziennych już znane, wolę więc przytoczyć fantastyczne widzenie, jakie miał przed paru tygodniami jeden ze znanych naszych malarzy.

Było to — jak opowiada — w ostatnią noc grudniową, w chwili gdy rok nowy wstępował na tron ojców, a za nim, jak za każdą potęgą u szczytu władzy będącą, ciągnął—niby ogon ognistej komety — cały orszak doradzców, pochlebców, złych i dobrych duchów.

Zaledwie jednak blask okalający nowego władcę rozjaśnił horyzont nad Warszawą, z orszaku tego trzy świetlane odłączyły się postacie i, stanąwszy przed tronem młodzieńca, schyliły kornie czoła swe, w gwiazdy geniuszu przybrane.

— Synu słońca — wyrzekła pierwsza, — przychodzimy, by powierzoną sobie pochodnię złożyć u stóp twych napowrót, prosząc o zwolnienie ze stanowiska strażniczek: Dobra, Prawdy i Piękna.

— Co? Bunt? Bunt w zaraniu mej władzy? Chybaż nie wiecie, żem was uczynił balsamem, gojącym rany ludzkie i główną szczęścia jej podstawę?

Trzy czoła, w gwiazdy przybrane, podniosły się z godnością.

— Świętość naszego posłannictwa nie jest nam obcą — mówił geniusz Dobra, — ale nie możemy pozwolić, by najmłodszej siostrze naszej krzywda się działa.

— Krzywda duchom opiekuńczym mych rządów?

— Władco jasnolicy, spojrz nadół — przemówiła Prawda, — i powiedz, czy nie jest upokorzeniem dla Piękna, gdy w tak nędznym każą mu mieszkać przybytku?

Rok nowy rozproszył ruchem magicznej laseczki mrok, zalegający nad Warszawą, a bystre jego wejrzenie zatrzymało się na nędznej oficynce, mieszczącej zbiory Towarzystwa zachęty. Zdumienie i gniew Jowiszowe jego zachmurzyły czoło. Dalszy jednak, miasto całe obejmujący rzut oka, rozpogodził je stopniowo.

— Masz słuszność, o Prawdo! — przyznał. — Buda podobna jest niegodnem Piękna siedliskiem. Widzę jednak w mieszkańcach miasta tego rozwinięte poczucie sprawiedliwości i miłosierdzia, a to twoje już królestwo geniuszu Dobra. Pochodni więc waszej nie przyjmuję, ze szczytnej straży nad ludzkiem sercem i sumieniem nie zwalniam. Wspierajcie się jako siostrzyce, a Dobro niech wspólnie z Miłosierdziem poruszy tak strunami dusz ludzkich, by dla *Piękna* jak najszybciej stosowny wzniesiono tu przybytek.

Słowa jego jak grom padły; skinął berłem i orszak w dalszą poszybował stronę. Trzy siostry tylko, z gwiazdami u czoła, zatrzymały się chwilę, by sługom swym stosowne zostawić rozkazy. Wynikiem ich będzie nietylko zabawa na budowę gmachu urządzona, lecz cały szereg w tym celu podjętych starań, do których każdy z nas drobną zapewne pośpieszy dorzucić cegiełkę.

Anatol.

PSYCHE.

NOWELA

PRZEZ

POCZWARKĘ.

(Dokończenie.)

Pod wieczór, cichy, samotny domek zaroił się gwarem. Witano gości, biegano na wszystkie strony, kaskady śmiechu i okrzyki radości objąły się cochwila o uszy samotnika, zatopionego w czytaniu.

Wtem ścicha zastukano do drzwi.

Pobiegł je otworzyć. W przedpokoju stała Zoe, cała w rumieńcach, z oczyma błyszczącemi jak dyamenty, podniecona, powabna, nakazująca.

— Chodźże pan! już są wszyscy, zaraz wychodzimy do ogródka. Czekamy tylko na pana, już uprzedziłam towarzystwo.

— Ależ ja jestem nieubrany.

— A to maruda, proszę! Zresztą możemy trochę zaczekać, dwie minuty, ani chwili dłużej!—i pobiegła, nucąc do salonu.

— Co tu robić? nie pójść, może się obrazi... — myślał niechętnie, wkładając tużurek, i w dwie minuty później, poprawiwszy naprędce bujną czupryę, otwierał drzwi salonu.

— Pan Janusz... — zaprezentowała Zoe towarzystwu gościa.

Tu nastąpiła ogólna wymiana ukłonów i uścisków dłoni z nowoprzybyłym.

Panny, szybkim spojrzeniem zlustrowawszy młodego człowieka, natychmiast wyrobiły sobie o nim opinią, która wypadła na jego korzyść, i szepcąc wśród cichego śmieszku, pobiegły do ogrodu.

Wślad za niemi, niby motyle za wonią róż, podążyła i reszta towarzystwa, dwaj studenci, jakiś młody przemysłowiec niewyraźnej rasy i nauczyciel Francuz, widocznie po uszy zakochany w pannie Zoe, bo jak cień wszędzie kroczył za nią i oczy uszczęśliwione wciąż w nią wlepiał wytrwale.

W ogrodzie podzielono się na pary. Panienki zaczęły zrywać kwiatki i przypinały je sobie u piersi, lub we włosach. Młodzież dopominała się również o butonierki i każdy otrzymywał kwiatek, wmiarę łaski, jaką się cieszył u płci pięknej.

Janek, obcy i nieznany, w nagłem poczuciu osamotnienia, stanął u wejścia do altanki i, oparłszy głowę o sploty powoju, patrzył na towarzystwo okiem inteligentnego obserwatora, mającego przed oczyma świat całkiem nowy dla siebie.

A może pobiegł myślą daleko, do swoich, gdzie, pochylona nad zmudną pracą, widniała postać jasnowłosa w aureoli uczucia i prostoty.

Naraz musnęła go po twarzy wonna kiść delikatnego kwiecia, owiała go upajająca woń heliotropu, a pieszczony głosik zanucił mu tuż nad uchem:

„Co tak stoisz w zadumaniu,
Może myślisz o kochaniu?..."

Młodzieniec drgnął na ten atak niespodziany. Potarł dłonią czoło i spojrzał odurzony na stojącą tuż przed sobą postać w jasnej liliowej sukience, w białym fartuszku, cacku z koronek, haftów i batystu (panna Zoe była dziś w sielankowem usposobieniu), z żółtą różą w kruczych kędziorach. Uosobienie namiętnej poezyi, a razem idylla... wiochna!...

Czarne, żarem płonące oczy patrzyły mu w twarz badawczo, a zarazem potulnie jakoś i pieszczotliwie, a purpurowe usteczka szeptały zwolna:

— Co pan taki smutny? wszyscy mają kwiaty... proszę przyjąć odemnie heliotrop... — i pachnąca, atłasowa rączka przypięła mu do klapy liliowy, dziwnie odurzający kwiatek.

Może to od jego woni zamroczyło mu się w oczach, bo spojrzał na piękną Florę zamgloną źrenicą i szepnął napół nieprzytomny:

— Dziękuję!...

— Co znaczy kwiat heliotropu?... — zadzwoniło mu nad uchem.

Lecz nim zdołał podnieść głowę, czarodziejka już była na drugim końcu ogrodu i łajała swojego Francuza za jakąś urojoną winę.

Delinkwent tłómaczył się z pokorą, plątał, był w rozpaczy, a Zoe śmiała się jak szalona i zaczęła opowiadać coś do ucha jednej z przyjaciółek.

Po kolacyi trochę grano i śpiewano; ktoś deklamował; potem urządzono ulubioną grę w sekretarza, czas zeszedł prędko i wesoło.

Kiedy się goście już rozeszli, senna trochę Zoe podeszła do Janka, aksamitną rączką dotknęła na jedno mgnienie oka jego rozpalonej dłoni i z długiem spojrzeniem szepnąwszy:

— Dobranoc!...

Znikła, jak gorączkowe, senne widziadło.

Długo w noc chodził Janek po wązkiej ścieżce ogrodu, pragnąc uśmierzyć burzę, jaka wrzała w jego piersi.

— Co znaczy kwiat heliotropu?...

Znaczy: „kocham cię!..." wiedział o tem dobrze i drżał, rozmyślając nad tem wyszeptanem słówkiem.

Czuł się dziwnie rozstrojonym i jak gdyby zdenerwowanym. W skroniach go paliło, krew pulsowała w żyłach gwałtownie.

Zły był na siebie, czuł niesmak jakiś, a zarazem obezwładniające, rozkoszne, nieznane uczucie pierś mu rozsadzało i czaszkę...

Przyszło mu na myśl, że może praca wytrzeźwi go z tego stanu somnambulicznego.

Wrócił tedy do siebie i, zapaliwszy światło, zabrał się do spisywania jakichś notatek, które mu miały być potrzebne przy jutrzejszej pracy.

Ale darmo silił pamięć i wolę. Darmo darł arkusz po arkuszu, zapisany cyframi bez związku. Wreszcie, zaniechawszy zamiaru, wpół nieprzytomny, padł na łóżko w ubraniu i zasnął.

Odtąd już nie zaznał spokoju.

Niema się nad czem długo rozwodzić. Czarodziejka opanowała wkrótce myśl jego, wyobraźnię i nerwy.

Czy i serce?...

Nie wiem, i on sam nie wiedział.

Czuł się tylko spętanym, jakgdyby wprawionym w stan snu magnetycznego, wbrew swojej woli, i coraz mniej siły miał do oporu.

X.

Pełen rozpaczy i niepokoju, po gwałtownej walce z samym sobą, postanowił wyprowadzić się ztąd i tym sposobem uciec od wrażeń, od słów i postępków, które w rezultacie przynosiły mu niepokój, gorycz i pogardę dla samego siebie.

Jednego dnia, przyszedłszy na obiad, powiedział do pani Lefroy bez żadnego wstępu:

— Przykro mi oświadczyć pani, że od pierwszego nie będę mógł nadal być jej lokatorem.

— Mais pourquoi donc, mon Dieu?! — krzyknęła z istotnym żalem Francuzka. — Czy panu nie smakuje nasza kuchnia, czy może pan woli kawę na śniadanie? a może chce pan odświeżyć tapety w swoim pokoju?

Zoe silnie pobladła na te słowa i, siedząc nieruchomo, w milczeniu słuchała rozmowy.

— Ależ nie, gdzież tam, pani łaskawa!—powtarzał z zakłopotaniem młody chłopiec, nie śmiejąc spojrzeć w oczy staruszce. — Wszystko zawsze było wyborne, ale, ale... otrzymałem zajęcie w innej stronie miasta, zbyt daleko musiałbym chodzić do biura...

— Jakże mi przykro! — powtarzała szczerze zasmucona kobiecina, bo istotnie polubiła bardzo tego *pauvre garçon*, jak go nazywała, znając osobiste jego sprawy.

Była już jesień...

Wicher szumiał nocami za oknem. Liście klonów, kasztanów i winogradu lśniły purpurą i złotem.

Malwy i astry okwitały w ogródku, zasłanym zwiędłemi liśćmi. Ostróżki, cykorye, rezeda i groszki pachnące zamierały zwolna pod mroźnem tchnieniem wichrów jesiennych.

W powietrzu pachniało dojrzałemi ziołami, wilgocią i sianem, jaskółki już uciekły na południe.

Nazajutrz po tej rozmowie, spędziwszy noc bezsennie, młody człowiek czuł gorączkową potrzebę ruchu i orzeźwiających wrażeń. Postanowiwszy użyć dalekiej przechadzki, wstał bardzo wcześnie, aby wyjść za miasto. Za trzy godziny dopiero miała się zacząć zwykła pora pracy biurowej.

Wyszedł z domu rzeźwy i rad z siebie i już mijał ogródek, gdy wtem stanął osłupiały.

Nie on sam tylko czuł trwogę, rozpacz i niepokój.

Ktoś również wstał raniutko, pragnąc znaleźć ukojenie na łonie przyrody, przy blaskach wschodzącego słońca.

W altanie, na pół już tylko osłoniętej więdnącemi liśćmi i splotami chmielu, siedziała Zoe w bieli, z twarzyczką w dłoniach ukrytą, okryta tylko lekkim pledem ponsowym.

Janek, przechodząc koło altanki, usłyszał wyraźne łkanie.

Zadrżał, czując że kroku dalej postąpić nie może.

W oczach mu się zamroczyło, krew uderzyła do głowy, zapomniał o wszystkiem i w jednej chwili znalazł się w altanie obok płaczącej.

— Panno Zoe!... Zoe moja!... dlaczego płaczesz, przez litość?... — szeptał nieprzytomny, czując, że dławią go słowa, których nigdy wypowiedzieć nie był powinien.

Drgnęła gwałtownie, usłyszawszy głos jego tak blizko. Skłoniła na pierś kochanka twarz łzami zalaną, zasłaniając mu oczy wonną kaskadą kruczych, rozplecionych włosów.

— Pan od nas ucieka?... Pan chce odjechać bez pożegnania?... o ja...

Na to Janek, szałem jakimś porwany, pochwycił ją w objęcia i gorącemi pocałunkami zaczął pieścić najprzód rączki, zasłaniające twarzyczkę, a gdy opadły bezwładnie, oczy, czoło i usta płonące.

Ona przymknęła omdlewające powieki, bez oporu się poddając upajającej pieszczocie.

Ale po chwili wyprostowała się nagle, pochwyciła gwałtownie obie jego dłonie i patrząc mu w oczy rozżarzoną źrenicą, zawołała namiętnym, przytłumionym szeptem:

— Ty mię kochasz!? kochasz mię?... to dobrze! Inaczej może byłabym umarła!... znam dobrze sposoby skrócenia nudnego życia, gdy zacięży... O, bo ja jestem tak strasznie nieszczęśliwa!...

Janek milczał nieprzytomny i ściskał jej rączki.

— O, ja wiem — ciągnęła dalej — ludzie nazywają mię bezmyślną kokietką, pustakiem... a ja tylko łaknę wrażeń, łaknę miłości... Czuję żar w swej piersi, żar, którego nic zagłuszyć, nic stłumić nie zdoła!... To potrzeba miłości szalonej, namiętnej, bez granic! .. Poza tem... wszystko mi jedno!...

Nieprędko Janek ochłonął.

I cóż się stało?

Nie powiedział jej przecież, że ją kocha. Nie ofiarował swojej ręki, która była związana słowem i pierścionkiem z inną.

Poprzysiągł miłość na śmierć i życie idealnej Psyche, a dał się spętać czarownemi więzy namiętnej bachantce.

Nie myślał wszakże o tem, ani zresztą o niczem.

Pozostał.

Pozostał, tonąc w szale namiętności, aby żyć teraźniejszością, aby się upajać chwilą obecną, pić z odurzającego kielicha narkotyczne wonie, które jad trucizny sączyły mu w duszę.

XI.

Od czasu pamiętnej sceny w altanie, Janek unikał kolegów, uciekał od ludzi, zaniechał wszelkiej korespondencyi, poprostu zerwał ze światem, u nóg czarodziejki trawiąc godziny, podobne do snu gorączkowego.

Napadały go wszakże czasem chwile gwałtownego bólu, szalonej tęsknoty, sam nie wiedział za czem, wówczas po całych dniach błąkał się samotnie po mieście, mijając starannie ulice, na których mógłby spotkać kogoś ze znajomych.

Od pewnego czasu napróżno szukał równowagi i ciszy wewnętrznej, która dawniej wypełniała jego duszę, dawała patrzeć na świat z miłością i z wiarą myśleć o przyszłości.

Nie mógł odnaleźć dawnej jasności umysłu, wśród powichrzonych myśli i najsprzeczniejszych porywów, jakie mu wrzały pod czaszką. Niejasno zaczęła się w nim budzić samowiedza swego stanu, wrodzone, szlachetne instynkta pchały go do reakcyi.

Pełen wewnętrznego chaosu, znużony na poły bezwiedną walką dwóch jakichś potęg tajemniczych, które w duszy jego bój zacięty staczały, mijał kolejno ulice wielkiego miasta, nie widząc nic dokoła, kiedy nagle ujrzał się przed wspaniałym gmachem, mieszczącym w sobie muzeum sztuk pięknych.

Szalona tęsknota do wzniosłych wrażeń, jakie daje sztuka, ogarnęła nagle jego duszę zmęczoną.

Szczytne uniesienia na widok dzieł mistrzów, tak gorąco niegdyś odczuwane, odżyły w nim nanowo, w jednej chwili z okiem błyszczącem i podniesioną głową wbiegł na szerokie, marmurowe schody, prowadzące do tej krynicy błogosławionej, która po wszystkie czasy zlewa na duszę ludzkości potoki światła, rozkoszy i szczęścia.

Przy dniu powszednim dość pusto było w salach, zapełnionych dookoła arcydziełami pędzla i dłuta mistrzów wszystkich epok i wszystkich rodzajów.

Vernet obok Rafaela, kopia Mojżesza Michała Anioła obok Venus, wychodzącej z kąpieli, nowoczesnego dłuta.

Zdawało mu się, że po raz pierwszy ogląda te rzeczy, że po raz pierwszy rozkoszuje się w tej atmosferze wielkiego piękna. Tysiące szczegółów, których dotąd nigdy nie zauważył, dziś wpadały mu w oczy, zaciekawiały, zachwycały, przykuwały uwagę, chwytały za serce.

Przebiegając sale, zatrzymywał się dłużej przed dziełami ulubionych mistrzów, lub zwracał baczną uwagę na rzeczy mniej znane.

Wreszcie, czując się zmęczonym, padł na perską sofę, ustawioną między dwiema kolumnami z białego marmuru, wśród pysznych, egzotycznych roślin, zkąd można było, nie będąc widzianym, rozkoszować się dowoli widokiem arcydzieł rzeźby, kutych w marmurze, alabastrze, albo terrakocie.

Długo przesiedział w tym uroczym kątku z zamkniętemi oczyma, pogrążony w stanie półsnu, półmarzenia.

Ocknął się wreszcie, otworzył oczy i spojrzawszy wprost przed siebie, ujrzał cudną postać z białego marmuru z paluszkiem na ustach, jak gdyby nakazującą milczenie.

— Psyche moja!... Psyche!... — szepnął z rozpaczą przytłumionem łkaniem.

Porwał się z miejsca, wsparł głowę o kolumnę i, łzami gorzkiemi zalany, patrzył i patrzył bezkońca na wdzięczną postać, której twarzyczka uderzająco przypominała słodką, anielską główkę biednej, zapomnianej Żańci.

Było to dzieło nieznanego mistrza.

Postać bogini z białego marmuru wykuta stanowiła oryginał kopii, którą niegdyś ofiarował Żańci, z prośbą o pamięć i serce.

. . . .

We dwa dni potem Janek był w Warszawie.

Ze zbielałemi usty, gorączką w oczach i straszną trwogą w duszy wpadł do dorożki i prosto z pociągu kazał pędzić na Złotą.

Tu gwałtownie zadzwonił do drzwi i z głośnem biciem serca słuchał szelestu znanych, drobnych kroczków. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło i usta drżały, jak w febrze, gdy nasłuchiwał drogiego głosu, który wymówi jego imię.

Z radością? czy z gniewem?

Och, szalał na myśl, że za chwilę będzie płakał u jej kolan i kornemi pocałunkami okrywać będzie rączki jej i stopki maleńkie.

— Co to jest?... nikt nie otwiera!... może się wyprowadzili...

Już miał drugi raz pociągnąć za dzwonek, kiedy dał się słyszeć szybki chód za drzwiami i po chwili otwarł się przed nim nakoniec Sezam zaczarowany.

— Czy są panie?... Gdzie panna Joanna?... — pytał niecierpliwie wystraszonej dziewczynki, która mu drzwi otworzyła, i wpadł do pokoju, widząc znane sprzęty.

Wpadł rozpromieniony! Psyche stała na swojem miejscu kamienna i cicha, ale Żańci nie było...

— To się tu już nie szyje? Dlaczego tu niema nikogo?... — wołał, niepojętem zdjęty przerażeniem.

— Gdzież panie?...

— Panie?... pani pojechała na Powązki..

— Poco?... — spytał strasznym szeptem, przyskakując do dziecka.

— Bo to dziś tydzień, jak panienka umarła, więc pani zawiozła świeży wieniec na mogiłę

KONIEC.

TEATR.

Scena przygotowuje się do występów gościnnych znakomitej artystki, która po wielu latach nieobecności przypomniała sobie, że Warszawa istnieje i że w niej święciła niegdyś najpiękniejsze zwycięztwa.

Czem jest Modrzejewska teraz, gdy nad głową jej przesunął się potężny kawał czasu, nieoszczędzającego ani młodości, ani wdzięku, zobaczymy wkrótce. Śród jej zapowiedzianych występów niema Anieli ze „Ślubów,” ani „Panny mężatki” — są zato Marya Stuart i lady Macbeth. Znaczy to, że artystka uznała sama konieczność przełomu w dotychczasowej karyerze i że poddaje się konieczności — smutnej osobiście, ale kto wie, może nad wyraz pożądanej dla jej talentu.

Obaczymy — tymczasem zaś zwróćmy się do najświeższych nowości, którym scena warszawska dała życie.

Pierwszą z nich jest czteroaktowy „Klub kawalerów,” sztuka ograna przedtem w ogródku i zwykłą koleją zabłąkana ostatecznie na teatr... rzeczywisty, który przy innych wielu zaletach posiada kardynalną wadę opieszałości.

Kilku kawalerów wiąże się w towarzystwo klubowe, którego celem jest zaprzysiężony celibat. Robią się tedy „Śluby panieńskie” podszewką dogóry, tyle właśnie w rzeczywistości warte, co i tamte. Jeżeli jednak „panieńskie” miały to na swoję stronę, że wykwitły na grządce liliowej nieświadomości, to te, kawalerskie, zawiązują się wprost przeciwnie. Na czele klubu staje autor odczytu czy broszury o celibacie, zainteresowany bardziej w powodzeniu swej pracy, niż zamiarów bezżenności.

Członkami są: dobrze już podtatusiały samotnik, któremu żadna z kobiet samotności mącić nie chce, młodzieniaszek z duszą uciekającą w pięty tyle razy, ilekroć zdarzy mu się znaleźć wobec spódniczki, zakochany po uszy poczciwiec, którego bóstwo drażni sztucznie okazywaną niechęcią, a wreszcie porzucony małżonek z nienawiścią do kobiet i gorycz w sercu, rad połączyć się z żoną każdej chwili. A ta żona, wcale niezła kobiecina, tylko odrobinę kokietka, może dlatego że zanadto ładna, dowiaduje się o owym klubie, zagina parol na śmiesznych celibatników, wodzi ich za nosy i czupryny dopóty, dopóki na chwiejnym gruncie zbudowane stowarzyszenie nie rozsypuje się w gruzy, nie bez grubej a wzajemnej kompromitacyi. Mąż godzi się z żoną... przez zazdrość, zakochany młodzieniec otrzymuje rączkę swego dąsającego się bóstwa, autor broszury o celibacie przegrywa faktycznie swą sprawę, a morał z tej wesołej bajki jest taki, iż... *„nec plures contra Herculem,”* gdy mianowicie tym Herkulesem jest mama natura i jej najpodstępniejsza córka — kobieta.

„Klub kawalerów” nie jest komedyą, ale bardzo udatną i niezmiernie w wielu opizodach i postaciach komiczną farsą. Wesołość zapewnia jej choćby sama jedna tylko Dziudziulińska, generalna swatka wszędzie i zawsze, gdzie się potemu trafi sposobność, energiczna rzecznica związku małżeńskiego, tem niebezpieczniejsza, że argumentów nie dobiera, zdrowym rozsądkiem wali w dyspucie, a za słowo podchwytywać umie. Jest-to bardzo oryginalny i wielce komiczny *causeur* w spódnicy. Zresztą co się tyczy całości sztuki, jest ona zbudowana dosyć swobodnie, zlepiona z wielu zajmujących i komicznych epizodów, ale znaczenia artystyczno-literackiego wielkiego nie ma.

Jest-to właściwością talentu Bałuckiego, że tworzy i pisze *ex promptu*, bez głębszego rozmysłu i jakichś misternych kombinacyj. Czego brak po stronie wykończenia, to się opłaca niezmierną łatwością i płynnością.

W grze artystów warszawskich ujawniają się wszystkie zalety sztuki, a nikną niedobory. Kokieteryjna separatka w grze pani Lüdowej, Dziudziulińska, którą była pani Borkowska, zadąsana komicznie panna Czakówna jako Marynia, wreszcie panowie Frenkiel, Szymanowski, Tatarkiewicz, Wolski i Nowicki jako klubiści, to chyba wystarczy, aby zapewnić sztuce najświetniejsze powodzenie.

Co może zrobić dla niej gra prawdziwych artystów, można się przekonać, przyglądając „Ewie” Vossa, dramatowi świeżo wystawionemu. Ta „Ewa” jest pokuszeniem ociężałego Niemca na swobodę blagi francuzkiej, z jaką rzucają się Dumas syn lub Sardou na najzawilsze kwestye życia.

Ma tu być niby jakaś teza, a jest tylko skoszlawienie lichem wykonaniem pomysłu już z natury koszlawego, z którego rozwinięcia i rzekomego rozwiązania nikt kropelki sensu wycisnąć nie zdoła.

Ewa jest córką arystokratycznego domu. Jej ojciec, hrabia Düren (ktoś dowcipnie zauważył, że w nazwisku tego pana właściwie *n* nie zaś *u* zmiękczenia się domaga) puszcza się na afery spekulacyjne i pociągnięty przez bankructwo interesu, umiera samobójczo. Panna miała narzeczonego, ale ten, wobec ruiny jej domu, usuwa się. Ewa byłaby bardzo nieszczęśliwa, gdyby nie pewien dzielny człowiek, coś w rodzaju właściciela kuźnic ze sztuki Ohnetowskiej, który się jej oświadcza i zaślubia ją.

Dawny narzeczony teraz, gdy majaczące mu w sercu uczucia mogłyby znaleźć ujście na cudzy rachunek, zbliża się do Ewy i porywa tę... arystokratyczną gołąbkę mężowi i dzieciom. Ginie potem z jej ręki, bo *czuła* żona i matka, a *uczciwa* kobieta zrozumiała nareszcie, że uwodziciel nigdy mężem jej zostać nie miał zamiaru. Potem Ewa zabójczyni pokutuje w więzieniu i zjawia się przed nią mąż... ze słowami przebaczenia!

Oczywista rzecz, że sława „reformatora” pojęć i obyczajów, Dumasa, zawróciła Vossowi w głowie i to nawet tak dalece, że utalentowane Niemczysko nie spostrzegło się, iż jego najniesłuszniej okrzyczane arcydzieło jest potężną gromadą nonsensów.

O co chodzi właściwie w sztukach takich jak „Ewa?” Tylko o to, ma się rozumieć, iż chcą dowieść, że wobec *wielkich namiętności* ani cnota, ani honor, ani przysięga, ani obowiązek, ani uczucia macierzyńskie, ani godność własna, ani wstyd nie znaczą nic! Człowiek nie jest człowiekiem, rozum nie jest rozumem, wola wolą. Pierwszy lepszy adonis, nieprzerastający ani o jeden cal zwyczajnego filistra, może kiwnięciem palca zburzyć rodzinę, w proch rozsypać małżeństwo, bo ich nic nie broni, nic nie osłania. Kobieta jest do wzięcia w każdej chwili, nawet i ta, która we własnem przekonaniu mianuje się uczciwą. Taka, byle jej gwarantowano zachowanie pozorów, pójdzie pierwsza. A gdy się zawiedzie i zrozumie, że skąpią płaszczyka do okrycia jej nikczemności, nie lęka się zostać zabójczynią, w przeświadczeniu, że mści swój honor, nie zaś zbrudzoną i wstrętną ścierkę.

Takie *śliczne* rzeczy usiłuje w nas wmówić autor „Ewy,” idąc za prądem reformatorskiego ducha Dumasa *et consortes*. Ci panowie wysilają wszystkie czynniki swoich talentów na to, aby przekonać ludzi, jak dwa a dwa cztery, że ludźmi nie są, tylko bydlętami. Ludzie nawet chętnie w to wierzą, biją brawa, zachwycają się, a są i tacy, co z piórem w ręku i powagą krytyków w tej robocie moralnego zniszczenia dopatrują się istotnie głębokiej mądrości i reformatorstwa. Starają się też usilnie nie widzieć bredni, pokrywanej mistrzowstwem aktorów. A gdyby zechcieli oddzielić grę na przykład panny Marcello (jako Ewy) i pana Kotarbińskiego (jako męża) od literackiego wątku tych postaci, gdyby to uczynić umieli, zobaczyliby całą pustkę tych sztucznych maryonetek, podobniejszych istotnie do zwierząt, niż do ludzi.

St. M. Rz.

EL TORO.

NOWELA

Jana Kervadec.

(Dokończenie.)

III.

Targ w Burgos.

Burgos, ojczyzna Cyda, którego zwłoki spoczywają w starym klasztorze San Pedro de Cardena, a wspaniały posąg jego wznosi się przy jednej z dziewięciu bram starego kastylskiego grodu, położone jest na prawym brzegu rzeki Arlanzon. Dolne miasto zajmuje żyzną równinę, górne zaś, wkraczając na wyniosłości, rozciąga się w formie półksiężyca.

Burgos posiada starożytną katedrę i rozległy wspaniały plac targowy, otoczony budowlami, stanowiącemi zabytek piękności starożytnej maurytańskiej architektury.

Na ten-to plac wprowadzamy czytelnika nazajutrz po wzruszających gonitwach, które do sławy świetnego espada, Emanuela Martijo, dołączyły jeszcze jeden wieniec.

Pusty w dniu niedzielnym, z powodu igrzysk, plac przybrał swój codzienny, pełen życia i ruchu charakter.

Chłopi i chłopki, starzy z pomarszczonemi wiekiem twarzami, młodzi od skwarów słonecznych ogorzali, wszystko zbiegło się na targ, wcelu sprzedaży produktów swej pracy i zabiegów. Tu pyszne pomarańcze przywiezione z Walencyi i soczyste granaty obok ryb solonych; tam daktyle i oliwki, figi i czarne winogrona, dalej wszelkiego rodzaju jarzyny, kwiaty przytłumiające zapachem swoim woń serów górskich, jednem słowem targ w całej pełni ożywienia, wśród nawoływań przekupek i butnych postaci chłopów sprzedających raki i kozie mleko.

Wśród tej powodzi przekupniów, o wyrazistych twarzach i gorączkowych ruchach, spostrzegać się dają sylwetki pięknych pań, zaopatrujących się w zapasy żywności, gdzieniegdzie znowu ukazują się ceratowe czapeczki żołnierzy, szukających przygód i krążących około sklepiku Karmelity, która zawsze niesłychanie dźwięcznym głosikiem, powtarza znane nam wyrazy: „woda świeża... woda jak śnieg!"

A tu, jakby dla kontrastu z ożywioną twarzą dziewczyny, Rodryg blady, miotany złością, rzuca jej ukradkiem złowrogie spojrzenia, na które Karmelita zdaje się nie zważać, a przynajmniej udaje swobodę myśli i wesołość.

Nagle oczy pięknej Kastylianki nabierają większego ożywienia, energicznym ruchem ręki odsuwa kupujących, a Emanuel Martijo w wytwornym miejskim stroju, z laseczką z kości słoniowej w ręku, zbliża się do sklepiku. Żywy płot z gawiedzi ulicznej formuje się obok Karmelity, promieniejącej radością i dumą, przypatrując się bohaterowi dnia wczorajszego, gdy Rodryg z zaciśniętemi zębami gniecie rękojeść sztyletu ukrytego za pasem.

Zaledwie młody i piękny espada zdołał ukłonem oddać hołd wybrance swego serca, gdy z drugiej strony placu rozległ się krzyk straszliwy, a wślad za tem popłoch i uciekanie. Jeden z byków, wyrwawszy się z zagrody, z rogami w dół skierowanemi, rzucił się przez plac, tratując i rozbijając wszystko co tylko w szalonym biegu napotkał na dzodze.

Była chwila, w której zdawało się, iż zwierzę opanowano, gdyż dwaj dozorcy cyrkowi, goniący za zbiegiem, zarzucili mu na szyję sznur, rozhukane atoli zwierzę wymknęło się zręcznie i oto wśród tłumów pędzi nanowo. Paniczny strach ogarnia wszystkich, potrącają się, padają, krew broczyć się zaczyna i niebezpieczeństwo przybiera groźne rozmiary.

Martijo pojmuje swój obowiązek, będąc jednak zupełnie bezbronnym, ogląda się wokoło, chcąc od którego z żołnierzy pochwycić szpadę, lecz ci pierzchnęli również szybko jak tłum, a tu... byk zaledwie już o kilka kroków, groźny, szalony, rzuca się ku gromadce, w której stoi Karmelita; bez namysłu więc zrywa czerwony fartuszek dziewczyny i nakrywszy się nim, biegnie naprzeciw rozjuszonego zwierza.

Rodryg patrzy obojętnie, stojąc w miejscu.

Odważny toreador przyjmuje rolę wyćwiczonego chulo, zatrzymuje zwierzę drażniąc je i odstraszając, a nawołując ciągle o broń. Ale strach rozwinął uczucie egoizmu, każdy dla ocalenia się ucieka, pozostawiając bez żadnej pomocy zbawcę, który ich ratuje z narażeniem własnego życia.

Karmelita załamuje ręce, wołając rozpaczliwie o pomoc dla oblubieńca, a Rodryg, uśmiechnięty ironicznie, szepce jej do ucha:

— On już stracony, ten twój piękny Martijo!

— Ach! — zawołała zrozpaczona,—gdybym tylko miała jaką broń do rzucenia mu, zobaczyłbyś!...

Rodryg wyjmuje swój sztylet z za pasa.

— Oh! daj mi go, daj!... — błaga dziewczę.

— Nie!...

— Daj, patrz!... siły go opuszczają .. lada chwila padnie... a wtedy! ..

— Będzie jeden trup więcej — odpowiada zimno Rodryg.

— Ach! ty nędzniku!...

— Dlaczego?...

— To największa niegodziwość, jakąś kiedykolwiek mógł popełnić!... Możesz go ratować, mając zręczność i siłę, a jednak nie chcesz!...

— Kto wie?... pod warunkiem jednak.

— Wszystko co zechcesz!... lecz śpiesz się.

— Nasz ślub przed niedzielą.

— Nasz?...

— Powiedz „tak," biegnę mu na pomoc; jeżeli nie, zostaję na miejscu.

W tej chwili Martijo zatoczył się na bruku, tracąc równowagę. Karmelita wydała okrzyk rozpaczliwy i, zwracając błagalny wzrok na Rodryga:

— Tak — wyrzekła, — tylko śpiesz, na miłość Bozką!

— Czy mi przysięgasz?

— Na moje zbawienie!

Rodryg jednym skokiem stanął przy nieszczęśliwym espadzie, który, wyczerpany z sił, nie mogąc dłużej walczyć, padł na bruk krwią oblany. Już byk ostatnim ciosem miał ugodzić Emanuela, gdy Rodryg zwinny jak tygrys, wskoczył na plecy zwierzęcia, zanurzając mu w kark swój sztylet.

Zwierzę z okropnym rykiem padło na miejscu.

Następnego dnia Martijo wyzionął ducha, rany były śmiertelne.

W parę dni potem, Karmelita, tonąc we łzach, lecz wierna przyrzeczeniu, została żoną Rodryga.

KRONIKA
działalności kobiecej.

Z Ameryki. W stanie Jova, w północnej Ameryce, zyskała pani Ellen Foster dyplom adwokata z odznaczeniem. Lecz w jaki sposób doszła do tego zaszczytu, jest rzeczą zbyt ciekawą, abyśmy ją mogli pominąć. Pani Foster była żoną sławnego adwokata, oddana cała mężowi, dzieciom i gospodarstwu, które to obowiązki pełniła z iście kobiecą tkliwością i zamiłowaniem.

Była nietylko żoną, ale i prawdziwą towarzyszką męża; rozmawiał z nią często o sprawach i kilkakrotnie zauważył, że pani Ella udziela mu bardzo trafnych rad, jakkolwiek prawa nie znała wcale. Mr. Foster powziął zamiar. Postanowił nakłonić zacną swą małżonkę i wzorową matkę swych dzieci, aby się oddała studyom prawnym, co mu się też udało. Inteligentna i rozumna kobieta, a nadewszystko wytrwała, niedawno uwieńczoną została owocem swej pracy, obecnie zaś, wspólnie z mężem, broni żarliwie przed kratkami sądowemi szczególnie nieszczęśliwych bezbronnych, a często niewinnych kobiet. Zasłynęła i nabrała rozgłosu takiego, iż obsypaną jest literalnie sprawami. A jednak jest i teraz najlepszą żoną i najtkliwszą, najczulszą matką; okoliczność, iż zajęła stanowisko adwokata, nie przeszkadza jej bynajmniej być, jak przedtem, zawołaną i gorliwą gospodynią.

— Korespondentka czasopisma „Cosmopolitan Magasin" miss Bissland, wykonała podróż naokoło świata, dotarłszy do oceanu Lodowatego wprzeciągu 72 dni.

— M-rs Dawis, dziewiędziesięcioletnia obecnie staruszka, była niegdyś najżarliwszą przeciwniczką handlu niewolnikami w Bostonie. Głosując gorąco za zniesieniem niewoli, szlachetna i zacna matrona dopomogła wielu Murzynom i Murzynkom w ucieczce do Kanady, obdarzając biedaków bądź pieniędzmi, bądź ubraniem, bądź wreszcie poczciwem słowem i radą. Ratując nieszczęśliwych, narażała często własne życie. Nawet i teraz, pomimo starości, bierze czynny udział w sprawach społecznych.

— Na fakultetach francuzkich studyowało w roku zeszłym wogóle 124 studentek; na fakultet paryzki przypada z liczby powyższej kobiet 122, które wszystkie prawie są rodem z Cesarstwa i Królestwa.

— M-me Anna Neumann, urodzona Szawłowska, członek Stowarzyszenia geograficznego w Egipcie, miała niedawno odczyt w Kairze „O narodach afrykańskich i legendach krajowych." Dzienniki francuzkie „Bosphore" i „Phare d'Alexandrie" bardzo pochlebnie się wyraziły o prelegentce, która odczyt swój wygłosiła w języku francuzkim.

— Stowarzyszenie w Szwecyi imienia Fryderyki Bremer otrzymało 30,000 koron (około 42,000 fr.), przeznaczonych na stypendyum dla kobiety, poświęcającej się medycynie. Przypuszczają powszechnie, iż bezimiennym ofiarodawcą był wyleczony niedawno przez pierwszą w Szwecyi doktorkę Karolinę Widestrom, która, jako chirurg, wykonała zeszłej zimy kilka nader pomyślnych operacyj.

Karolina Widestrom cieszy się ogólnem uznaniem, doktorzy sztokholmscy traktują ją jak swego równego, zapraszając doktorkę na narady lekarskie.

— Doktór Minnis Hays, redaktorka czasopisma lekarskiego „American journal of medical sciences," w roku 1890 ustąpiła ze swego szczytnego stanowiska, a miejsce jej zastąpił doktór Edward P. Dawis. Pismo powyższe należy do pierwszorzędnych czasopism lekarskich w Stanach Zjednoczonych, a p. Minnis Hays redagowała je przeszło przez lat trzydzieści, zpowodu jednak podeszłego wieku oddała czynność tę koledze swojemu

— W Filadelfii zamianowaną została miss Kate Baldwin lekarką w „Polyclime hospital." Jest-to pierwsza kobieta, którą zaszczycono podobnym urzędem.

— **Europa.** M-me d'Adlersparre, z domu baronówna de Leijonhurd, należąca do najwyższej sfery towarzyskiej w Sztokholmie, tak zpowodu bogactwa, jak i urodzenia, zajmuje obecnie pierwsze stanowisko pośród filantropek szwedzkich. Jest fundatorką mnóstwa zakładów dobroczynnych dla kobiet, zniewolonych żyć samodzielnie, oraz autorką wielu wymownych artykułów, w których zacna matrona (ur. 1823 roku), licząca obecnie lat 68, wzywa bogate swe współrodaczki do niesienia pomocy szukającym pracy. Od roku 1885 — 1888 pełniła funkcye redaktorki w dzienniku „Darny," zajmując same tylko kobiety, a pismo, należy przyznać, odpowiadało dobrze wymaganiom publiczności. Zjawiały się tam zdolne korespondentki, specyalistki, pisujące sprawozdania sądowe, pomocnice adwokatów, i ich artykuły prawne i t. d.

Pomiędzy instytucyami, założonemi przez m-me d'Adlersparre, powszechnem uznaniem cieszy się zakład, utworzony w roku 1873 i noszący nazwę „Przyjaciółki pracy ręcznej" *Handar-betets vänner*, a który wielce wpłynął na rozwój i gust pracy kobiet niższych warstw społeczeństwa półwyspu skandynawskiego tak dalece, iż nieraz wychodzą ztamtąd dzieła rąk niewieścich wykończone z prawdziwym artyzmem. Fabrykują się tam koronki najdelikatniejszej roboty, hafty na atłasie i aksamicie, malowania na jedwabiach, aksamitach, szkle i porcelanie; wreszcie drzeworyty i akwarele zasługują istotnie na podziw. Mając pod ręką najświeższe modele i wzory, w jakie zakład jest obficie zaopatrzony, robotnice mają sposobność doskonalić się w każdej gałęzi pracy i sztuki i często przedmioty przez nie wykończone są arcydziełem sztuki i artyzmu. Szlachetna inicyatorka pragnie tym sposobem dowieść, iż kobieta, gdy chce, może i powinna wiele uczynić dla kobiety.

— Natalia Zahle. W roku 1851 przybyła do Kopenhagi z prowincyi młoda dziewczyna w charakterze nauczycielki dzieci do jednej z najznakomitszych rodzin stolicy. Zapewniwszy sobie byt i przyszłość, Natalia Zahle zajęła stanowisko jedyne, jakie społeczeństwo duńskie owej epoki ofiarować mogło kobiecie. Ale obdarzona wyższym umysłem i wszechstronnem wykształceniem, uczuła wkrótce, iż jej zaciasno w szczupłem kole rodzinnem chlebodawców i że kształcenie trojga dzieci jest dla niej zbyt małem polem działalności. Pomimo tedy braku funduszów, pomimo iż pozbawioną była wszelkiej protekcyi, postanowiła porzucić miejsce i wyjrzeć na świat szeroki, mając w kieszeni pustki, ale uzbrojona zato w ogromny zasób energii, stanowczości i żelaznej siły woli, które-to warunki były dostatecznemi do zwalczenia różnych przeciwności losu.

Najprzód więc otworzyła zakład naukowy dla dziewcząt, pragnących się kształcić na nauczycielki, obejmując sama nad nim umiejętne i rozumne kierownictwo.

Nie będziemy opisywali, co przejść musiała panna Zahle, zanim doszła do pewnego rezultatu, ani jakie walki staczać musiała słaba kobieta, zanim dosięgnęła celu, do którego dążyła z niezachwianą energią, ale przytoczmy, że gdy w roku 1877 podwoje uniwersytetu w Kopenhadze rozwarły się dla kobiet, Natalia Zahle była już tak postawioną, iż postarała się o pozwolenie założenia wyższego zakładu naukowego dla dziewcząt, przygotowującego je do egzaminu na uniwersytet. Obecnie posiada Kopenhaga więcej takich zakładów, na czele których stoi zawsze Natalia Zahle i w których znajduje pomieszczenie do 700 uczennic, zostających pod opieką kompetentnych dyrektorek i nauczycielek, dawnych wychowanek N. Zahle.

Szlachetna niewiasta, otoczona honorami i zaszczytami, jest wysoko cenioną w społeczeństwie duńskiem; jedyną ideą Natalii Zahle jest zapewnienie przyszłości zakładom, inicyatorką których była sama, a także bytu i pracy kobietom wogóle.

— Zjednoczenie kobiet niemieckich (*Algemeiner deutscher Frauenverein*), założone w roku 1865 w Lipsku przez Louise Otto-Peters, zainstalowało się w ostatnich czasach w Dreznie, a stowarzyszone zbierają się cotydzień, traktując na posiedzeniach o nowych prawach i prądach Niemiec z powagą i godnością i rozbierając je gorliwie. Czytują wszelkie dyskusye cesarza i śledzą, jaka ztąd korzyść wyniknie dla kobiet.

Głównem zadaniem tej pożytecznej instytucyi jest niesienie zawsze i wszędzie pomocy kobietom. Bogate ofiary dobrowolne i znaczne fundusze stowarzyszenia sprawiają, iż zakład obdarza rokrocznie stypendyami studyujące młode, a biedne dziewczęta.

W roku 1890 Zjednoczenie kobiet niemieckich kosztem swoim utrzymywało dziesięć panien, kształcących się na różnych uniwersytetach europejskich, i udzieliło znacznej zapomogi szkole politechnicznej dla kobiet w Berlinie.

— Dona Rosa Martinez de la Costa zajmuje nader wybitne stanowisko pośród świata literackiego w Hiszpanii. Jakkolwiek jest jeszcze bardzo młodą, zasłynęła już jako poetka i utalentowana powieściopisarka. Rozpoczęła karyerę literacką w dziecięcym niemal wieku; w 15 roku życia bowiem napisała pierwszy romans p. t. „Anioł szczęścia," a poemat „Ostatni sen" utworzyła, licząc lat jedenaście.

Ostatniemi czasy napisała utwór „Do mojego wieku," pełen idealizmu; piękna, melancholijna dusza młodej poetki daje w nim o sobie najpochlebniejsze świadectwo.

H. R.

Piśmiennictwo.

Pan Wincenty Kosiakiewicz od lat kilku zaledwie pracuje na niwie literackiej, a już niepoślednie na niem wyrobił sobie miejsce. Z urzędnika kolejowego stał się nowelistą i odrazu począł pisać bardzo udatne nowelki, od drobnostek, od szkiców przechodząc do coraz większych rozmiarami utworów, a we wszystkiem okazując znajomość natury ludzkiej.

Najświeższa praca tego autora, powieść jednotomowa p. t. **„Przy budowie kolei"** jest też najobszerniejszą, a stanowi obrazek, na szczegóły którego autor zaczerpnął rysów z dobrze sobie znanego światka. Sami tu kolejarze, od zwierzchników począwszy, aż do tych pracowników, którzy siekierami torują drogę dla nowej kolei.

Bohaterem powieści jest inżenier Piasecki, który zjechał niespodzianie do Janek, by wytykać nową drogę, i tu z konieczności musiał wejść w towarzystwo, jakie zastał na miejscu. Więc pan zawiadowca stacyi z żoną Julią, bardzo prozaiczną osóbką, która się w następstwie staje twierdzą... bez obrony; więc zamieszkali w sąsiedztwie państwo Łupinkowscy, wysoko sięgający utracyusze, on wiecznie rachujący na nową kolej, jak na wybawienie z nieweli hypotecznej, ona podtatusiała, ale dystyngowana kokietka; więc i para małżonków Orchowskich, u których Piasecki znajduje dla siebie lokalik, a którzy mają na opiece siostrzenicę Janinkę, dziewczę dorastające, które się potem, jak motyl w przemianie, staje bardzo ładną i bardzo rozsądną panienką. Domyśli się łatwo czytelnik, że Janina przeznaczona jest w powieści na bohaterkę i że ujarzmi płoche serce pana inżeniera, który choć się łotruje w Łupinkowie i przy pani Julii, wobec swojej młodziutkiej gosposi jest zawsze bardzo poważnym i najzacniejszym.

Nic jej to nie szkodzi, że przychodzi do jego pokoju by nalewać herbatę, że czasem spędza tu na miłej pogadance bardzo długie godziny; pan inżenier z najlepszą wiarą przysiągłby całemu światu, że Janince najbezpieczniej w jego cichym pokoiku, kiedy wszyscy w domu oddawna już chrapią. Nic dziwnego, on ją kocha, a z miłością zawsze idzie w parze cześć, która bywa aniołem opiekuńczym dla słabych. Zresztą dziewczę, pełne szczerej ufności, a nieświadome, nie myśli nawet, że to „nie wypada." Potem Janince przychodzi myśl zostania nauczycielką, boć przecież całe życie ciężarem dla wujostwa być nie chce. Trzeba się przygotować do egzaminu, inżenier ofiaruje się skwapliwie z pomocą, sam się stara o program, sam przywozi książki i lekcye rozpoczynają się, przeplatane gawędką, której uroki wdzierają się głęboko do serc obojga.

Kończy się to małżeństwem, szczęśliwem, zawiązanem z miłości, a z pewnością w szczęściu trwałem.

Powieść jest, powtarzamy, obrazkiem, bardzo przypominającym rzeczywistość, a obywającym się bez efektów, intryg, epizodów dramatycznych. Płynie to wszystko spokojnie, oświetlone łagodnie, a cała waga powieści ciąży na stosunku wzajemnym dwojga serc, który tu owiany jest poezyą, słodki a naturalny.

— Bardzo także pięknym nabytkiem dla piśmiennictwa nadobnego jest powieść M. Gawalewicza p. t. **„Drugie pokolenie.”** W dwóch tomach autor zawarł zajmującą historyą firmy przemysłowej „Wilhelm Fatt,” która, gdy jej założyciel i kierownik uczuł się chorym i słabnącym, zbogaciła się dopiskiem „i Syn.”

Syn ów, Karol, to w przekonaniu „starego” tęga głowa, której zaufać można. Uczył się za granicą, zna świat i ludzi, bywał i widział wiele i można mu powierzyć honor firmy, majątek rodziny, przyszłość pracowników. Pewnym jest tego ojciec, któremu, niestety, przyszłość gorzki zawód przynieść miała. Karol, przedstawiciel drugiego pokolenia, nie szedł drogą ojca, który przy pracy ciężkiej gromadził grosz do grosza; młody Fatt pragnął zbierać miliony, przy ich pomocy wejść w świat wyższy, używać życia, imponować innym. *„Grande vitesse!”* to jego hasło, że zaś fabryka nie mogła wyrabiać milionów, tylko tysiące, przeto Fatt rzucił się w spekulacye, począł ryzykować i pewny siebie, rozpłomieniony, rozgorączkowany... spotkał się z bankructwem.

Wówczas przed umysłem tego zrujnowanego szaleńca stawia się pytanie: być czy nie być? Wybiera... ucieczkę, ten tchórz i kłamca, który oszukiwał wszystkich i do zguby za sobą pociągał. A przy sterze opuszczonej w tak haniebny sposób firmy staje znów *pierwsze* pokolenie w osobie starego ojca... lecz i *drugie*, w osobie Krzysztofa, aby ratować co się da, a nadewszystko zagrożoną cześć.

Udaje im się to, a gdy pracują ciężko, uczciwie, z wysiłkiem, ten który był przyczyną zguby brnie coraz głębiej w kałużach życia. Nietylko jest synem *drugiego* pokolenia, ale bardzo pospolitym we wszelkich pokoleniach nędznikiem. · Ażaliż bowiem tacy są synowie owego drugiego pokolenia, do którego przecież należy i Krzysztof, on, co rozumie ojca, a sam sobie szczególnych celów i przywilejów nie wyznacza?

I tu, w tem zestawieniu obu braci, w tej psychice Karola, tak przesadnie ujemnej, łamie się i paczy idea „Drugiego pokolenia.” Autor nie dosyć rozważnie obmyślił charakter młodego Fatta, a przez to skrzywił go, wraz z tezą powieści. A szkoda, bo utwór to pod wieloma względami bardzo ładny, a niezawodnie najlepszy ze wszystkich belletrystycznych prac pana Gawalewicza. Są tu epizody nakreślone z talentem pierwszorzędnym, są postacie postawione silnie i przeprowadzone do ostatka logicznie, są chwile oświetlone promieniami uczucia i poezyi, od których czytelnik odbiera wrażenia natury bardzo estetycznej.

Nawet w języku, miejscami silnym, a wszędzie dobrze odpowiadającym treści, „Dwa pokolenia” chlubnie świadczą o postępie i rozwoju talentu swego autora.

— Bardzo też interesującą jest powieść Orzeszkowej p. t. **„Jędza.”** Jest-to bardzo wierny i drobnostkowy wizerunek kobiety, którą bolesne koleje życia uczyniły gorzką, zgryźliwą i dokuczliwą — nawet dla jedynej córki, bardzo zacnej, a poświęcającej się wesoło i bez szemrania na losy nieprzyjazne. Obrazek Orzeszkowej wysnuwa się bardzo logicznie i wykończony jest bardzo pracowicie a subtelnie. Niebrak tu i serdeczniejszego ciepła, z którem u tej autorki spotkać się niełatwo.

Patrzy ona na życie ze stanowiska surowej i przedmiotowej obserwatorki, a widzi je i ukazuje w świetle prawdy i rzeczywistości. To ją broni od chorobliwego sentymentalizmu, który autorom bardzo nieraz lichym zapewnia łatwą i szeroką popularność.

Rz.

Z chwili bieżącej.

---

* **Wydział stręczeń służących**, przy miejskiem biurze kontroli, już zaczął funkcyonować. Siedziba jego znajduję się przy ulicy Złotej, pod numerem 7, a otwarty jest od 9 zrana do 3 popołudniu, codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt uroczystych.

Stręczenie odbywa się bezpłatnie, a godzić się można ze służącymi albo na miejscu, w kantorze, albo u siebie w domu, dokąd też, nawet na listowne zażądanie, przysyłani będą odpowiedni kandydaci.

* **Ogród zimowy.** Czyż może być coś ponętniejszego nad ogród zimowy? Jeżeli w lecie ogrody mają dla nas taki powab, cóż to dopiero za rozkosz wpośród zimy, podczas gdy wszystko w naturze ściska mróz i śnieg zasypuje, znaleźć się wśród świeżej zieleni, w atmosferze sprzyjającej roślinności.

Taką rozkosz gotuje nam, jak słychać, pan Metelf z Berlina, który już podobno z jednym z właścicieli domów na Nowym Świecie traktuje o nabycie od niego realności.

Dobroczyńca nasz zamierza w tym swoim ogrodzie sprzedawać nam kawę, a zebrane za nią pieniążki, gdyby się przedsiębierstwo udało, wysyłać lub wywozić do Berlina. Tego rodzaju dobrodziejów mamy już dosyć, choć zupełnie obeszlibyśmy się bez nich.

Czy przyjdzie do skutku to przedsięwzięcie, zaręczyć nie możemy; opowiadamy cośmy słyszeli. Tyle jednak możemy dodać, że nawet przyjście do skutku nie byłoby jeszcze rękojmią powodzenia.

Naprzód, my kawy niemieckiej, a zwłaszcza pruskiej, nie lubimy; w tej mierze, jak i w wielu innych, mamy gust od Prusaków odmienny. A potem tego rodzaju antrepryzy niemieckie na tutejszym gruncie jakoś się nie udają. Toć Dreher był nie Prusak i dawał piwo rzeczywiście dobre, a jednak nie wytrzymał.

* **Tramwaj do Wilanowa** przyjdzie nareszcie prawdopodobnie do skutku. Głównymi promatorami tego przedsiębiorstwa są obecnie pan Magnus, dyrektor stowarzyszenia spożywczego „Merkury,” i wójt gminy mokotowskiej pan Lewicki, a spory zastęp chętnych uczestników ma się zrekrutować z właścicieli realności, leżących przy drodze z Warszawy do Wilanowa.

Przedsiębiorstwo to ma przed sobą niewątpliwie widoki powodzenia, Wilanów bowiem należy do najprzyjemniejszych i najulubieńszych miejsc, do których kierują się letnie wycieczki Warszawian. Ułatwienie i udogodnienie komunikacyi stanie się jeszcze jedną więcej do tych ekskursyj zachętą, i byle by tylko lato nie było zbyt niepogodne, tramwaj nie będzie miał powodu skarżyć się na brak pasażerów.

* **Jeszcze jeden tramwaj.** Bądźcobądź, Warszawa ostatniemi czasy zrobiła znaczne postępy na drodze ułatwienia komunikacyi i uprzystępnienia jej dla wszystkich. Przed kilkoma jeszcze laty, zaledwie jedna linia kolei konnej przerzynała miasto od mostu praskiego do dworca kolei żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej, na której kilka ciężkich wagonów leniwie pełniło dzienną służbę, a z której niewiele osób mogło korzystać. Dzisiaj tramwaje nietylko na całe miasto gęstą sieć zarzuciły, puściwszy na nią setki lekkich i zgrabnych wagoników, ale i poza miasto długie niby pająk nogi wysuwać poczęły. Oprócz zdecydowanej już niemal linii tramwajowej do Wilanowa, odbywają się narady nad pobudowaniem innej linii, do Czerniakowa. Przedsięwzięcie to ma podjąć Towarzystwo akcyjne, z akcyami po 100, 250 i 1,000 rs.

Zczasem wszystkie zapewne celniejsze podmiejskie miejscowości, w podobny sposób z sercem swojem, z Warszawą, połączone zostaną.

* **Zima**, która tak dotkliwie daje się nam we znaki, oprócz innych przykrych następstw, pociągnęła za sobą i opóźnienie odbudowy teatru Wielkiego. Wskutek panujących mrozów, roboty w gmachu teatralnym okazały się zupełnie niemożliwemi, a dzięki temu scena, na której, jak zrazu zapewniano, miała już w końcu Stycznia grać Modrzejewska, nie tak prędko jeszcze będzie gotowa.

Pesymiści nie spodziewają się oddania jej na użytek publiczny wcześniej jak na jesieni, i kto wie, czy nie mają racyi. To pewne, że ciężką tę zimę już do końca, zarówno publiczność jak artyści, będą musieli przebiedować w teatrze Letnim.

Tam też będzie grała i Modrzejewska, na której występy tylu zgłasza się kandydatów o bilety do teatralnej kasy zamówień, iż zdaje się, że gdyby nie dziewięć ale dziewięćdziesiąt razy miała wystąpić, wszystkie przedstawienia byłyby przepełnione.

* **Dziwna zima.** Po długich i dokuczliwych mrozach, po spadnięciu ogromnej masy śniegów, w chwili kiedy to piszemy, deszcz padał... Baliśmy się przed paroma jeszcze dniami, że zostaniemy śniegiem formalnie zasypani; obecnie trwoga ta zamieniła się w obawę zalania. I tak źle, i tak niedobrze.

Gorzej jednak niż u nas jest gdzieindziej. Kraje południowe, które przedtem zimy prawie nie znały, obecnie mają po same uszy śniegu i mrozu, które tem boleśniej dają się we znaki ich mieszkańcom, że do nich nie przywykli i nie posiadają żadnych ochronnych przeciwko nim urządzeń.

Że w środkowej Europie wszystkie niemal komunikacye kolejowe bądź niezmiernie są utrudnione, bądź zupełnie przerwane, to jeszcze nic tak dziwnego; ale że port tuloński, jezioro badeńskie, port genewski zamarzły, że wreszcie zamarzł Adryatyk, że żegluga po nim ustała, to rzeczy niezwykłe.
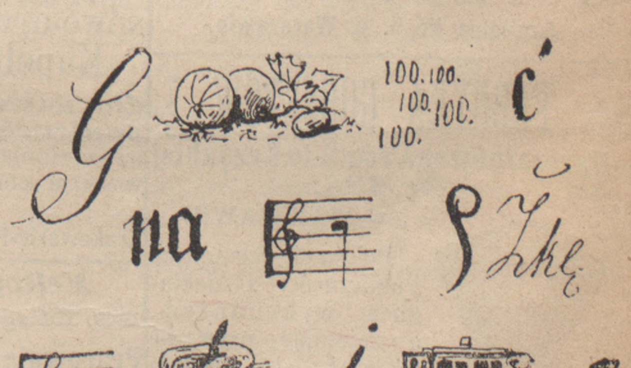
W Paryżu, wskutek zimna, śmiertelność podwoiła; się umiera tam dziennie około trzystu osób, podczas gdy normalna cyfra śmiertelności za inne lata stupiędziesięciu zaledwie dochodziła. Izba deputowanych uchwaliła dwa miliony franków kredytu na środki ratunku dla biednej ludności, najbardziej na srogość tegorocznej zimy narażonej; ale jeżeli zimna takie jak dotąd dłużej potrwają, i ten napozór olbrzymi fundusz nie wystarczy.

Myśl, że ktoś więcej cierpi od nas, nie jest ulgą a pociechą byłaby arcy-niemoralną, ale może i powinna natchnąć wytrwałością i do cierpliwszego znoszenia własnych dolegliwości być podnietą.

* **Rozwiane marzenia.** Ci, co już w myśli widzieli warszawskie pobrzeże wiślane zamienione we wspaniały bulwar, niech się zawczasu, na dość długo zapewne, pożegnają z tem słodkiem i rozkosznem marzeniem. Projekt pana Devarsa, nad którym tyle radzono, okazał się ostatecznie niepodobnym do wykonania, przynajmniej na teraz. Pan Devars, biorąc na siebie budowę samego bulwaru, zażądał, aby miasto zabrukowało ulice i zaopatrzyło je w kanały, wodę i światło. I miał podobno p. Devars racyą. Miasto atoli, nie wchodząc nawet w merytoryczne ocenienie żądania, poprostu nie może dalej na tej podstawie z panem Devarsem traktować, gdyż odpowiednich funduszów nie posiada. Żegnajcie więc, nadwiślańskie bulwary!...

G. Cz.

REBUS.



☛ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою. Варшава, 17 Января 1891 г.

Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26.

Dodatek.

Opis do N-ru 5.

N. 1—2. Ubranko i riusza na szyję dla starszej osoby.

Podstawa ze sztywnego tiulu liczy w środku 9, w końcach 3 c. szerokości, przy tylnym prostym brzegu 21, przy przednim zaokrąglonym 25 c. długości. Na niej przyszywa się wokoło brzegów czarna koronka chantilly 8 c. szeroka (156 c.) zmarszczona i nad czołem ułożona w trzy kontrafałdy. Na środku podstawy zfał-

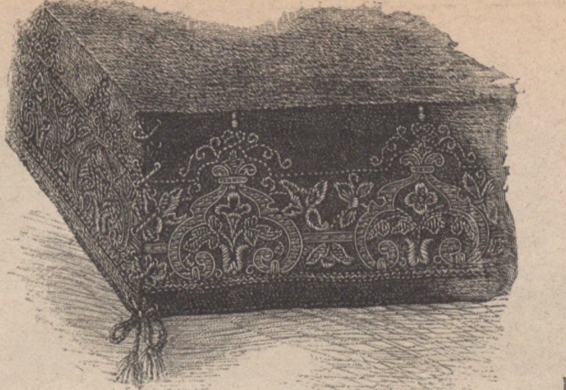


N. 1—2. Ubranko i riusza na szyję dla starszej osoby.

dowany drugi kawałek koronki 26 c. długi, zszyty prostemi brzegami do środka, tworzy rodzaj denka, z pod którego spada półokrągły kawałek tiulu oszyty koronką. Dla przyozdobienia można dodać gałązkę kwiatów dżetowych. Riusza na szyję układa się z 10 c. szerokiego skosu czarnego repsu, wysiepanego z brzegów, fałdowanego w potrójne kontrafałdy i przyszywa na wstążce 3 c. szerokiej, 190 c. długiej, związanej pod szyją w kokardę.

N. 3. Serweta na stół do jadalnego pokoju. Deseń patrz fig. 76.

Rycina 3 przedstawia serwetę z ciemno-zielonej flaneli, z szerokim haftowanym szlakiem, na rogach przeciętą i zasznurowaną, fig. 76 daje deseń szlaku wykonanego włóczką hamburgską, filozelą i sznureczkiem złotym. W przeszłorocznych N-ach znajdują się piękne wzory szlaków.



N. 3. Serweta na stół do pokoju jadalnego. Deseń fig. 76.

N. 7 i 15. Ubranie wieczorowe dla starszej osoby. Krój N. X.

Gładki fason sukni najodpowiedniejszy do ciężkich jedwabnych materyi; f. 52 daje wymiar spódnicy podszewkowej, f. 53 zwierzchniej; pierwsza ma przód i boki zaszyte w górze odpowiednio do figury, tylne bryty podszyte merlą na 90 c. szeroko, mają dwie listewki do zmarszczenia, a u dołu balejezę 35 c. szeroką, zakończoną koronką. Zwierzchnia suknia ma na szwach daną torsadkę z perełek 1 c. szeroką, u dołu w połowie przedniej riusza z piór 10 c. szeroka; tylne bryty zebrane w głębokie fałdy, przypinają się na staniku, podług r. 15. Fig. 43 daje gładką podszewkę przodów zapiętą środkiem na haftki, wierzch zaś fałdowany odmiennie w każdej połowie kraje się podług fig. 44—45. Lewa połowa przodu (fig. 44) zfałdowana podług znaków i przy brzegu przednim założona w fałdę, łączy się w górze, u dołu i w pasze, od J do gwiazdki z gładką podszewką. Prawa połowa (fig. 45) kraje się bardzo szeroko, fałduje podług znaków i zachodzi skośnie na lewą. Rękawy wysoko odstające są po części marszczone, częścią zfałdowane i wszyte razem z gładką podszewką. Dolny brzeg stanika zakończa riusza i 4 c. szeroka pasmanterya z perełek; z tyłu na przepięciu fałd suta rozeta z materyi. Kołnierz, przody i rękawy oszyte piórami. Na głowie ubranko z koronki; przypięte gwiazdami brylantowemi, lub ozdobnemi szpilkami złotemi.



N. 7. Ubranie strojne dla starszej osoby. Patrz ryc. 15. Krój N. X.

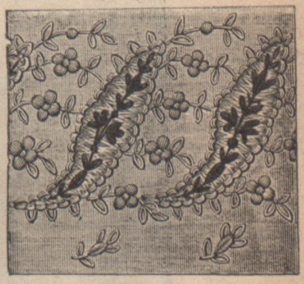


N. 4. Plecy do ryc. 2 w N. 6

N. 5. Plecy do ryciny 17

N. 8—9. Teka do papierów. Malowanie na skórze.

Rycina 8 daje w naturalnej wielkości czwartą część deseniu, malowanego tuszem i kolorowemi farbami na skórze. Deseń za pomocą odpowiedniej kalki trzeba przenieść na tło skórzane; do malowania użyto farby ponsowej, niebieskiej i złota; ramka ma tło czarne. Po skończeniu malowania pociąga się robotę lakierem.



N. 6. Hafcik do ryc. 12 i 16.

N. 10—11. Koszula balowa bez rękawków. Krój N. XIII.

Pod staniki dekoltowane, najdogodniejsze są koszule bez ramiączek i bez rękawów, kończące się pod rękami. Fig. 64—65 dają połowę przedniej i tylnej części stanu, którego długość i szerokość trzeba dopełnić podług miar wypisanych. W przedniej połowie zaszyte są zaszewki i środkiem przecięty rozporek do *w*, podszyty listewkami do dziurek i guzików. Górny brzeg od *r* do *u* zmarszczony na 18 c., przyszyty u dołu do wszywki 2 c. szerokiej, przewleczonej wstążką do wiązania; wyżej można dać koroneczkę.



N. 10 — 11. Koszula bez rękawków, pod staniki balowe. Krój N. XIII.



N. 8. Malowanie do ryc. 9.



N. 9. Teka skórzana ozdobiona malowaniem. Patrz ryc. 8.



N. 12. Ubranie wieczorowe z trenem. Patrz ryc. 16. Krój N. VIII.



N. 13. Suknia balowa przybrana kwiatami. N. 14. Ubranie balowe z naszyjnikiem z kwiatów. Krój N. I. N. 15. Ubranie strojne dla starszej osoby. Patrz ryc. 7. Krój N. X. N. 16. Ubranie wieczorowe z trenem. Patrz ryc. 12 Krój N. VIII



N. 17. Ubranie wieczorowe. Patrz ryc. 5. Krój N. IX. N. 18. [Kost]ium „Szwedka.“ Krój deseń N. V. N. 19. Kostium fantazyjny „Ogień.“ Krój N. XIX. N. 20. Kostium fantazyjny „Woda.“ Krój N. XIX. N. 21. Kostium fantazyjny „Powietrze.“ Deseń fig. 75. N. 22. Kostium fantazyjny „Ziemia.“

N. 12, 16 i 6, **Ubranie** wieczorowe z trenem. Krój N. VIII.

Przedstawione z przodu na r. 16, z tyłu na r. 12 odrobione z żółtawo-białej materyi surah i z białej gazy haftowanej jasno-zielonym jedwabiem i włóczką. Spódnicę podszewkową jedwabną przykrywa z przodu 102 c. szeroki bryt materyi surah, sfałdowany i wszyty w pasek, przysłonięty brytem gazy, haftowanej w pasy, podług r. 6, przedstawiającej haft w połowie naturalnej wielkości. Główne części deseniu wyszyte ściegiem krzyżowanym włóczką cienką jedwabną; kwiateczki i rzucik zapełniający tło 12 c. szerokich odstępów między pasami, haftuje się cienkim jedwabiem lub filozelą. U dołu bryta dany obręb 5 c. szeroki. Tylne bryty spódnicy podszewkowej krajane z małym, zwierzchniej z długim trenem podług fig. 41; górny brzeg jest od 1 do 21 zostawiony gładko, dalej ściśle zfałdowany i do brzegu stanika, zacząwszy od boczków przednich przyszyty szwem odwracanym. Tren w całej długości podszywa się sztywnym muślinem, u dołu zakończa obrębem 5 c. szerokim i 20 c. szeroką balejezą, oszytą koronką. Stanik z głębokim podłużnym wykrojem z przodu, zakończonym szerokiemi ranwersami i fałdowaniem z wstążki, stojącem lub odwiniętem z tyłu. Rękawy bufiaste dane z haftowanej gazy, podłożonej cienkim tiulem, u dołu przyszyte do wstążki repsowej 6 c. szerokiej, z której dane kokardy i szarfa.

N. 13. Ubranie balowe.

Na jedwabnej podszewkowej włożona zwierzchnia suknia tiulowa, marszczona w górze. Wykrój stanika i brzeg króciutkich rękawków ogarnirowany girlandą z hiacentu; takiż bukiet we włosach. Szarfa jedwabna przewiązana w pasie.

N. 14. Ubranie balowe z naszyjnikiem z kwiatów. Krój N. I.

Przy głęboko wyciętym staniku dany plastron, w górze rozszerzający się nakształt karczka (fig. 3), krajany w jednym ciągu i podług odpowiednich znaków przyszyty na przodach stanika. Efektowne i bardzo modne obecnie przyozdobienie stanika, stanowi na plastronie dane wyszycie z perełek złotych i stalowych, tudzież ze szlifowanych kolorowych szkiełek (naśladowanie drogich kamieni) rozmaitej wielkości. U góry pleców wyszycie stanowi także rodzaj karczka, odpowiednio do przodów. Mate[...] zwierzchni przodów fig. 4, jest podług krzyżyków i kro[...] zfałdowany i przyszyty do podszewki podług linii cienkiej [...]g. 1. Fig. 9 daje podszewkę króciutkich rękawków, pokry[...] bufiastą materyą; dolny brzeg sznurowanego z tyłu stanika, [...]ciśnięty paskiem haftowanym (fig 10). Na spódnicy upięte [...] małe paniers, na które bryty boczne krają się około 30 c[...]żej od bryta przedniego; części dłuższe wystają w górze s[...] zaokrąglone na rogach, zmarszczone i wszyte w pasek razem [...] suknią. Strojne dopełnienie toalety balowej stanowi naszyj[...] z drobnych kwiatków, związany z tyłu wstążką repsową 5 [...]zeroką; takiż wianeczek na włosach zafryzowanych i nizk[...]iętych.

[N.] 17 i 5. Ubranie wieczorowe. Krój N. IX.

Suknia z jasno lila kaszmiru zakończona jest u dołu 5 c. szeroką pliską z ciemniejszego jedwabnego repsu a powyżej ozdobiona 36 c. szerokim haftem jedwabiem i złotą nitką, w rzucik z kwiatów, zmniejszających się stopniowo ku górze. Fig. 42 daje wymiar sukni, *a* oznacza bryt przedni, krajany w jednym ciągu z bocznemi; linia kropkowana wskazuje środek przodu; górny brzeg jest sfałdowany podług znaczków i wszyty w pasek. Z trzech brytów tylnych dwa boczne *b* są kaszmirowe, trzeci środkowy *c* jedwabny; u góry zebrane w ściśle fałdy, rozsuwają się u dołu w dość długi tren (patrz r. 5). Okrągło wycięty stanik ma przody fałdowane, z prawej strony zakończone haftowanym ranwersem, z lewej aksamitką 6 c. szeroką, z której dany pasek i przepięcia wzdłuż sukni zakończone kokardami. Wykrój stanika ogarnirowany fałdzistą falbaną z białej crêpe-lisse, wziętej podwójnie.

N. 18—22. Ubrania na bal kostiumowy.

N. 19. Kostium szwedzki. Krój i deseń na arkuszu N. V.

Narodowy ubiór szwedzki jest bardzo gustowny, a ponieważ młodej osobie może w nim być do twarzy, podaliśmy go jako ubranie kostiumowe: składa się z bluzki, spódnicy, fartuszka, paska, czepka i chustki na głowę. Fig. 31 daje wymiar bluzy: *a* oznacza bluzę wykrojoną z cieniutkiego płótna, do której na szwie bocznym od krzyżyka do dwukropka wszywa się szeroki rękaw *b*, od dwukropka do gwiazdki, na wierzchu w górze zfałdowany podług znaczków, u dołu do 25 zmarszczony i wszyty w pasek 3 c. szeroki, ozdobiony

wyszyciem podług fig. 35d i koronką 2 c. szeroką. Na prawej połowie przodu naszyta koronkowa wstawka 6 c. szeroka a wzdłuż brzegu koronka. Wykrój szyi otacza kołnierz wykładany, z podwójnego płótna 11 c. szeroki, 37 długi, ogarnirowany koronką. Spódnica z ponsowego sukna 110 cent. długa, 240 cen. szeroka, u góry zmarszczona i grubą wypustką połączona z szerokim, zapinanym z przodu karczkiem. Kraje go się z różowej materyi jedwabnej na podszewce z grubego płótna, podług fig. 32—33, łączy podług odpowiednich znaków i ozdabia haftem z kolorowego jedwabiu wykonanym ściegiem płaskim, sznureczkowym i łańcuszkowym. Fartuszek z jasno zielonej kiprowanej wełny 100 c. długi, 80 c. szeroki, podszyty u dołu 24 c. szeroką listwą z czarnej flanelki, wysuniętą na 2 c. i wyszytą w zęby żółtym jedwabiem. Taśma ponsowa przerabiana jedwabiem, odznacza szlak 35 c. szeroki; haft wykonywa się podług fig. 35b. Szeroki pas a raczej plastron, w który fartuszek jest wszyty, dany z czarnej flanelki (8 c. szeroki, 20 cent. długi), otoczony wokoło brzegów wyszyciem kolorowem krzyżykowem, na środku zaś wyszyte desenie. Bluza, spódnica i fartuszek obciśnięty paskiem z ponsowego safianu, wyszywanym podług f. 35c, 8 c. szerokim zapiętym z tyłu. Włosy zaplecione w warkocz przykrywa czepek, który szyje się z wszywek koronkowych; f. 34 daje wymiar czepka, którego brzegi wystające po 8 c. zszywa się z sobą, przedni brzeg zakończa koronka 3 cent. szeroka. Na wierzchu czepka wiąże się chustka płócienna lub z grubego tiulu, licząca 80 c. szerokości, 76 długości, złożona w fałdy po 5 cen. szerokie, zacząwszy od rogu i składając tak żeby skośna średnica wynosiła 60 c., następnie brzeg fałdowany zwraca się do czoła, trzy końce zbiera razem do tyłu i przypina pod włosami, a z boków głowy odwija skrzydła podług ryc. 18.

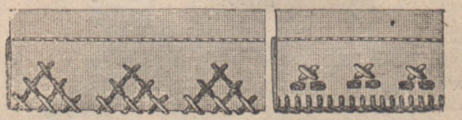


N. 26. Szlafroczek z wyszyciem Krój i deseń N. XVII.

N. 27. Szlafroczek z bluzkowemi rękawami.
N. 29. Plecy do ryc. 26.
N. 30. Plecy do ryc. 28.



N. 28. Szlafroczek z chusteczkowem przybraniem. Krój N. II. Patrz ryc. 30.



N. 24—25. Szlaczki do chusteczek od nosa.

N. 19. Kostium fantazyjny „Ogień." Krój N. XIX.

Kostiumy charakteryzujące cztery elementa dają się przygotować gustownie i efektownie. „Ogień," właściwy dla brunetki, wymaga spódniczki atłasowej czerwono-ognistego koloru (feu), na której u dołu wokoło malowane są płomienie farbą i złotem. Staniczek i draperya z atłasu pomarańczowego, ozdobione złotemi blaszkami i złotą frendzlą. Fig. 74 daje wymiar brytów, *a* oznacza obie połowy przodu, wycięte w zęby, sfałdowane podług znaczków i zachodzące na siebie, *b* daje bryt tylny wycięty w głębokie zęby i lekko podpięty. Na przodzie stanika z błyszczącej złotej materyi aplikowane słońce, roztacza złote płomienie w półkole; wykrój górny ogarnirowany sutą riuszą koronkową, koloru popiołu. Na głowie zamiast dyademu, słońce z cienkiej blachy złoconej, w ręku pęk świecących drutów, naśladujących błyskawice. Pończoszki czarne jedwabne wyszyte złotem i blaszkami; pantofelki ze złotej lub żółtej skórki.

N. 20. Kostium „Woda."

Podszewkowa suknia z atłasu lub materyi koloru wody morskiej, krajana z trenem przykryta jest zwierzchnią z gazy lub tarlatanu tegoż koloru, przerabianego w srebrne nitki. Szlak dolny stanowią fantazyjnie pomieszane rybki, muszle, rośliny wodne, gałązki korali aplikowane z materyi, lub malowane na płótnie i naklejane. Staniczek z materyi w łuskę srebrną i czarną dopełniony szmizetką i rękawami z białego tarlatanu, którego namarszczenie naśladuje spienione bałwany. Wokoło stanika zwieszają się w fantazyjnym nieładzie lilie wodne, trawy, gałązki, korale i t. p. Na głowie gwiazda morska, z pod której spadają sznury pereł, muszelek i korali. Pończochy jasnopiaskowe i takież pantofelki przybrane muszlami.

(*Dokończenie nast.*)



N. 23. Fartuszek z szerokim szlakiem. Patrz r. 37.



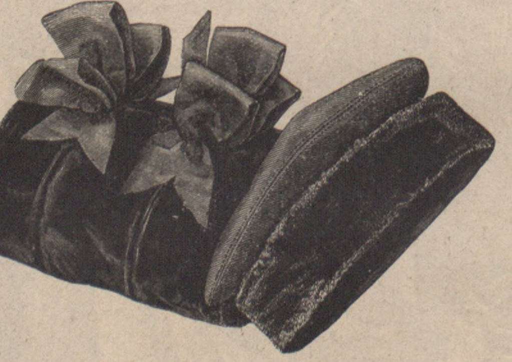
N. 31. Ząbki do ryc. 34.



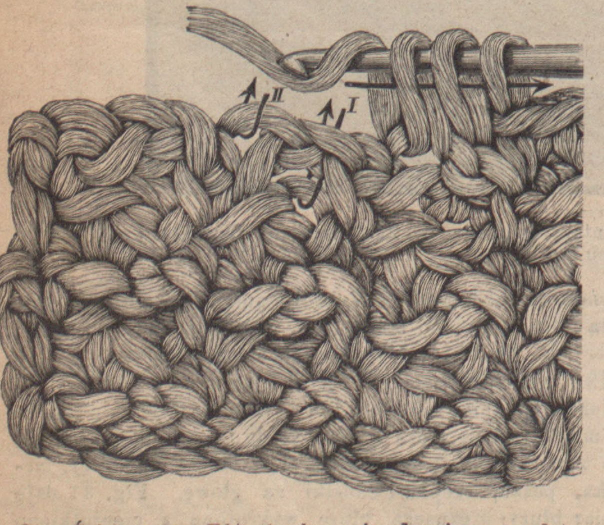
N. 34. Kaftaniczek włóczkowy robotą szydełkową. Patrz ryc. 31—33. Krój N. XI.



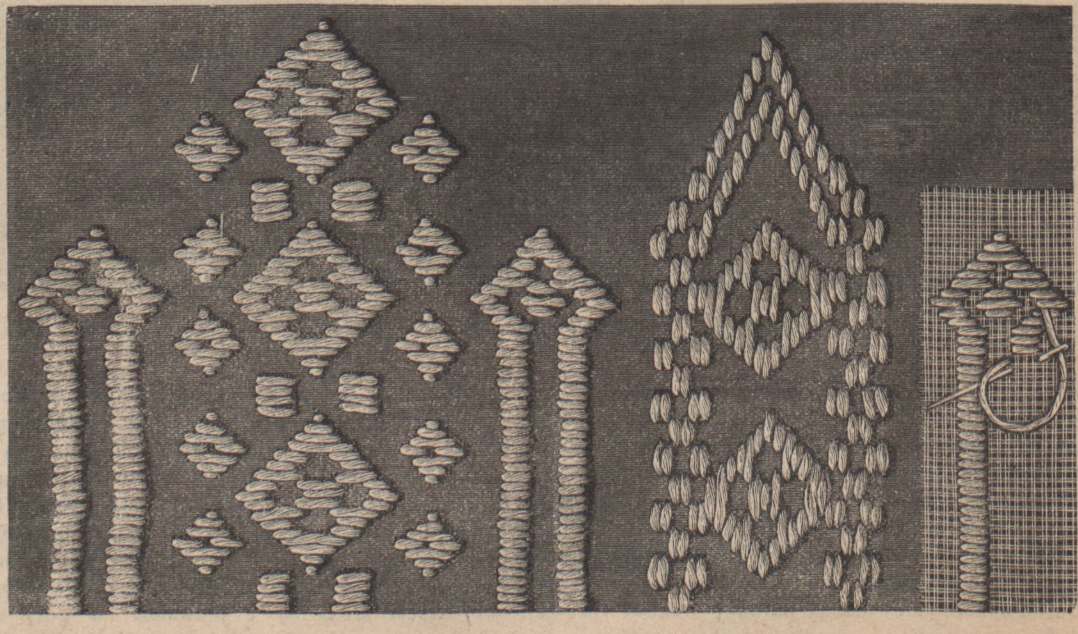
N. 32. Ścieg *punto Edda* (wykonanie pierwszego rzędu). Patrz ryc. 31—34.



N. 35—36. Mufka i czapeczka.



N. 33 Ścieg *punto Edda* (wykonanie drugiego rzędu). Patrz ryc. 31—34.



N. 37. Szlak do fartuszka ryc. 23